ROK VII

ORĘDOWNIK wych. co wtorek, czwartek i sobotę.
PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w mieście 1 mk. 75 fen., na pocztach 2 marki. Egzemplarz sprzedaje się po 10 fen.
OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od wiersza petytowego.

ORĘDOWNIK.

Nr. 133.

EKSPEDYCYA w drukarni J. Leitgebra, Plac Wilhelmowski numer 17, obok Biblioteki Raczyńskich.
LISTY nadsełać należy franco pod adres. do redakcyi Orędownika, Poznań.
RĘKOPISMA nie zwracają się, ale niszczą.

Pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym.

Dziś: Andrzeja z Awelinu
Jutro: Marcina bisk.

Poznań, Sobota 10 Listopada 1877.

Wschód słońca 7.13, zach. 4.14.
Długość dnia 8 god. 50 min.

Poznań, 9. listopadka.

— * **Polityka** rządu, czy pomyłka rejencyi? Że u nas zaprowadzają się szkoły mięszane i sprowadzają się do nich głównie nauczyciele ewanieliccy tam nawet, gdzie między wyłącznie katolickiemi dziećmi znajdzie się zaledwie kilka lub kilkanaście ewanielickich, rzecz u nas powszechnie znana. Katolicy dopominają się, by szkoła, do której ich dzieci chodzą, miała charakter wyznaniowy, a więc dla katolików była katolicką, powołują się na rozmaite paragrafy i reskrypta; wszystko rejencye i ministerstwo odrzucają wyświecając, że w tym i w tym przypadku żądanie katolików jest nieuzasadnione.

Jest wieś w Opolskiem na Górnem Szląsku, Derschau (polska nazwa nie jest nam znana), niegdyś osada Niemców ewanielików, która jednak z czasem przez wykupno i inne stósunki do tyla została katolicką, że na 36 katolickich było zaledwie 10 protestanckich ognisk rodzinnych. Do szkoły uczęszcza obecnie dzieci 26 katolickich, protestanckich 3, ale rejencya przysyłała zawsze nauczyciela ewanielickiego. Gdy w tym roku posada nauczycielska zawakowała, katolicy podali 20. sierpnia r. b. do rejencyi wniosek, aby im przysłano nauczyciela katolika. Na to odebrali taką odpowiedź:

Opole, 9. października 1877.

Na podanie z 20. 8. 77. dotyczące ustanowienia katolickiego nauczyciela w Derschau, odpowiadamy Panom, że szkoła w Derschau od czasu swego założenia w zeszłym wieku była zawsze ewanielicką i bez przerwy ewanielickiego miała nauczyciela. Choć czasem liczba dzieci ewanielickich zmniejszyła się w tejże szkole, nie ma żadnej potrzeby, by znosić stare prawo, jakie ewanielicy mają do tejże szkoły, ile, że dzieci katolickie mają zapewnioną naukę religii a dzieci ewanielickie miałyby wielką trudność w szukaniu takowej, bo szkół ewanielickich nie ma w bliższem sąsiedztwie.

Królewska Rejencya.

Czy to pomyłka rejencyi, czy polityka rządu. Nie wolno znosić prawa ewanielików do szkoły, bo kiedyś była ewanielicką, a nasze szkoły katolickie, w których dzieci ewanielickich nieraz tyle co nich, czy istnieją — od wczora?

— * **Powstają** obawy, aby Siostry Miłosierdzia nie musiały opuszczać kraju pruskiego, jak inne Zakonnice. W prowincyach nadreńskich wywiaduje się od pewnego czasu policya w klasztorach Sióstr Miłosierdzia: które Siostry zmieniły swój pobyt, skąd przyszły, dokąd poszły. A że takie sprawy należą do wewnętrznej reguły klasztorów, więc Siostry bez przekroczenia reguły nie mogą w żaden sposób na takie pytania odpowiadać. Jeżeli się tu policya uprze, to i Siostry Miłosierdzia będą się musiały — wynosić! Matka przełożona Franciszkanek w Akwizgranie odpowiedziała stanowczo, że nie da żadnego objaśnienia, przyczem dała do zrozumienia, że na usługi chrześciańskie stoi Siostrom świat otworem i kraju pruskiego żadna z nich żałować nie będzie. Być może, że policya z względu na wyrzeczenie ministra Kameckiego w sejmie, że mobilizacya każdej chwili może nastąpić, da spokój Siostrom, pomna na usługi, jakie oddały armii niemieckiej podczas wojny francuzkiej.

— * **O walnem zebraniu** Kółek rolniczych piszą do „Kuryera“ z wągrowieckiego:

Dnia 5. mb. odbyło się w hotelu Kronhelma Walne Zebranie Kółek włościańskich powiatu wągrowieckiego. O godzinie 3 zagaił je p. Libelt z Czeszewa, przedstawiając zgromadzonym patrona Kółek pana Jackowskiego i serdecznie go witając. Zgromadzenie powitało szanownego patrona odgłosem: „Niech żyje“ i na przewodniczącego Walnego Zebrania uprosiło. Patron obejmując przewodnictwo, powołał na trzymającego pióro p. Graffa z Prochnowa, pozdrowił zgromadzenie staropolskiem katolickiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ i w treściwem, przystępnem, przekonywającem przemówieniu korzyści Kółek włościańskich wynosił. Na porządku obrad aż cztery stały rozprawy. Najprzód p. Garczyński z Potulic odczytał rozprawę: „O kierunku teraźniejszych gospodarstw,“ poczem ks. proboszcz Nowak ze Zonia: „O konieczności potrzebie zabezpieczenia się od ognia i gradu;“ następnie pan Grabski z Lechlina: „O żywieniu zimą inwentarza,“ a wreszcie p. Skąpski z Michorzewa: „O postępowaniu z mierzwą.“ Po każdym odczycie żywe wywięzywały się dyskusye, w których włościanie także udział brali. Widoczną było, jak ich te rozprawy ożywiały i zajmowały. Ze wszystkich odczytów ks. Nowaka najwięcej się podobał, lubo i inne piękne i praktyczne były. Patron uprosił ks. Nowaka, że rozprawę swoją w „Gospodarzu“ umieści. Do zabezpieczeń polecił patron towarzystwo Magdeburskie, które najkorzystniejsze dla Kółek stawia wskutek układów warunki. Na Walnem Zebraniu był przytomny agent tegoż towarzystwa, p. radzca Anus z Poznania, i oświadczył gotowość, przesłać każdemu Kółku potrzebne objaśnienia. Na wniosek ks. Nowaka obrano p. Kronhelma z Wągrówca pośrednikiem na cały powiat pomiędzy Kółkami włościańskiemi a towarzystwem Magdeburskiem. Na końcu zebrania przedstawił patron na swojego następcę w powiecie p. Libelta z Czeszewa, który od czterech miesięcy po wyprowadzeniu się p. Krzyżańskiego był łaskaw w sprawach Kółek go wspomagać. Zgromadzenie ochotnie ten wybór potwierdziło, znając gorliwość p. Libelta we wszelakiej publicznej sprawie. Rozprawy toczyły się do 7 godziny. Przy zamknięciu obrad podziękował p. Buchowski szanownemu patronowi za odwiedziny w imieniu Walnego Zebrania, a zgromadzeni głośnem „Niech żyje“ swoje podziękki i zadowolnienie mu wyrazili. Na Walnem Zebraniu reprezentowanych było pięć Kółek: Wągrowieckie, Goławieckie, Juńcewskie, Popowskie, Mieściskie. Członków przybyło przeszło sześćdziesięciu kilku.

Miałbym ochotę uczynić przymówkę obywatelom — inteligencyi — że w szczupłej zbyt liczbie na walne zebranie przybyli; ksiądz dziekan Ryński już na zebraniu żal swój z tego powodu wynurzył. Nie brakło oczywiście p. Buchowskiego z Pomarzanek. Przyzwyczailiśmy się go wszędzie widzieć, gdzie idzie o sprawę publiczną. Pan Jackowski, — pan Buchowski, przez takich ludzi sprawa się buduje, zasada działania takich mężów może być prawem powszechnem dla nas. — Blisko 50 członków zasiadło do wspólnej, skromnej wieczerzy, przy których kilka odpowiednich wzniesiono toastów, jako to patrona, duchowieństwa, włościan i wszystkich średnich obywateli.

— * **Towarzystwa** Przemysłowe. Kiedy sprawę tychże towarzystw poruszono w kilku pismach tutejszych po staremu, nie wnikając w rzecz, nie pytając o to, co i jak się u nas dzieje, a pocieszając tylko siebie i czytelników projektami: tyle razy u nas powtarzanemi i razy tyle zapomnianemi, staraliśmy się wykazać, co jest przy tem wszystkiem złudzeniem i na co liczyć można. Wiemy z doświadczenia, że nasze zdanie znajdzie bardzo mało zwolenników, bo ogół nasz mało myślący, albo niemyślący, woli iść zawsze za tymi, którzy „wiele“ obiecują i zapowiadają, aniżeli za tymi, którzy rzetelnie radzą. My radzimy zająć się tylko bibliotekami i szkółkami wieczornemi. — Bagatela — odpowiadają na to ci, co to jak z bicza trzaskają projektami, — tu tyle, co nic nie robić. Że nasze zapatrywanie na ten przedmiot musi mieć jakieś uzasadnienie, niechaj służy za dowód korespondencya z Grodziska do „Kuryera,“ w której o tamtejszem towarzystwie, przed kilku miesiącami założonem, tak piszą:

„Radością przejęła nas swego czasu wiadomość o zawiązaniu się w mieście naszem Towerzystwa Przemysłowego a z liczby członków, którzy w pierwszym dniu do niego przystąpili, marzyć mogliśmy o rozwoju i pomyślności jego. Tymczasem mocno nas nadzieja zawiodła. Z przeszło 70 członków przybywa na zwyczajne posiedzenie, odbywające się co niedzielę, 10 a najwięcej 15 a wielu jest nawet takich, którzy wcale do towarzystwa nie uczęszczają. Cóż jest tej opieszałości przyczyną? Słyszałem wielu skarżących się na zarząd, który nie dość energicznie Towarzystwem się zajmuje, skarga ta wszelako jest nieuzasadnioną, gdyż o ile mi wiawiomo, mamy godnych w nich członków, którzy z poświęceniem starają się jedyne to w mieście naszem stowarzyszenie polskie utrzymać. Przyczyny tej szukać nam raczej przypadnie w nas samych, którzy nie chcemy poznać potrzeby wspierania się wzajemnego, do którego w obecnych przedewszystkiem czasach dążyć powinniśmy. Weźmy się przeto na seryo do dzieła, wynagrodzimy przynajmniej częściowo to, cośmy potychczas zaniedbali i nie pozwólmy, aby towarzystwo nasze przemysłowe grób swój w tak krótkim czasie znalazło, a my przez to od nieprzyjaznych nam żywiołów wyśmiani zostali“.

Po cóż się łudzić! Zaklęcia o „wzajemnem popieraniu się“, gdy w kasie nie ma na to pieniędzy, o „nieprzyjaznych nam żywiołach“, gdy te „nieprzyjazne żywioły“, dają naszym szewcom, stolarzom, krawcom, ślusarzom zatrudnienie a więc zarobek, są nadaremne i dla naszego mieszczanina bez żadnej wartości. To są czcze frazesy, co gorsza, to są kłamstwa fałszujące rzeczywistość, któremi się nikogo nie zaklnie.

Jeżeli gdzie, to w Grodzisku nie wiedziano, jak zacząć i co począć z towarzystwem przemysłowem. Założono je kilka miesięcy temu po wysłuchaniu prelekcyi o Rejtanie.

Rejtan — i bieda polskiego rzemieślnika! Można sobie wystawić, jakiego pojęcia o zadaniu towarzystwa mogli nabrać Grodziszczanie po takiej prelekcyi! Czy nie lepiej powiedzieć wprost, że się zawięzuje kółko towarzyskie; wtedy można mówić na prelekcyi i o bucefale Aleksandra W. i będą się bawili tam ci, co chcą i co mają na takie rozrywki. Gdy zaś chcemy w takich kółkach coś dla przemysłu zrobić, to trzeba się brać do tego inaczej.

Grodzisk nie stanowi oczywiście wyjątku, tak się prawie wszędzie dzieje z towarzystwami Niechby ci, co mają po miastach wpływy i dobrą wolę, zechcieli się zastanowić nad potrzebą ograniczenia tylu zadań w towarzystwach, niechby swoją gorliwość i pieniądze z składek skierowali wyłącznie na biblioteki i szkółki wieczorne, jakeśmy radzili w naszych artykułach, a po kilku latach nie mówiliby o grobie towarzystwa, ale o jakichś owocach, jeżeli małych, to zawsze rzeczywistych.

— * **Wiec katolików** szląskich odbył się 5. m. b. w Wrocławiu pod przewodnictwem hr. Ballestrema przy udziale około 3000 zgromadzonych kapłanów i świeckich obywateli. Poseł Schroeder, adwokat, wypowiedział świetną mowę, w której dosadnie nakreślił historyą walki kulturnej, wykazując, jakie się krzywdy Kościołowi dzieją. Pan Riedinger, drugi mówca, zbijał zarzuty przeciwników Kościoła, jakoby w innych krajach a mianowicie w Austryi istniały podobne prawa kościelno-polityczne, jak w Prusach, a duchowieństwo znosiło je gdzie indziej, gdy w Prusach

stawia im spór. Mówca dowiódł, że w żadnym państwie nie ma takich praw na Kościół, jakie istnieją od lat 5 w Prusach. Następnie odczytano petycyą do Najjaśniejszego Pana o zniesienie praw majowych i ozmianę obecnych przepisów szkólnych.

Petycya ta będzie rozesłaną po wszystkich parafiach katolickiego Szląska, będzie „od chaty do chaty“ roznoszoną, aby wróciła do tronu opatrzona najliczniejszemi podpisami.

Ma ona znaczenie wielkie dla katolików Szląska nie tylko Niemców, ale nie mniej Polaków, raz z względu na to, że chodzi o boskie prawa Kościoła, drugi raz z względu na to, że, podpisujący ją, upraszają Cesarza, aby powagą swoją przywrócił polskiej ludności Szląska prawa przyrodzone i pozwolił polskie dzieci uczyć religii św. po polsku.

To przemówienie katolików Niemców za przyrodzonemi prawami ludności polskiej na Szląsku — i to do samego Cesarza — zapewni im szczerą wdzięczność w sercach ludności polskiej.

Rząd pruski, a jeszcze więcej jego urzędnicy niżsi, jako też dziennikarstwo, dzisiejszej polityce rządu sprzyjające, tłomaczy swe postępowanie jakiemiś niebezpiecznemi dążnościami Polaków. Na nic się nie zda, gdy Polacy, broniąc się, wołają, że porówno z Niemcami pełnią obowiązki względem państwa, płacą podatki z mienia i z krwi, i obowięzujące prawa krajowe porówno z Niemcami przestrzegają, i za to żądają tylko równouprawnienia i poszanowania w sobie praw przyrodzonych. Może Niemcy katolicy, odzywający się dziś publicznie za przyrodzonemi prawami ludności polskiej, będą szczęśliwszymi i rozchwieją choć w części niesprawiedliwe względem nas uprzedzenia.

Petycya powyższa, rozpowszechniona będzie w brzmieniu niemieckim i polskim. Nie wątpimy, że ludność polska na Szląsku będzie się garnęła do niej skwapliwie i opatrywała ją tysiącami podpisów.

Ustęp, w którym jest mowa w petycyi o wykładzie polskim, brzmi w przekładzie z niemieckiego:

„Co się tyczy szczegółowo ludności górnoszląskiej, mówiącej po polsku, to trzeba nam boleć nad tem, że język polski nie doznaje w wszystkich szkołach elementarnych przy wykładzie religii św. tego uwzględnienia, jakiego niezbędnie potrzeba, aby dzieciom jasno wyłożyć prawdy wiary.“

— * **Parafia** Warstein w Westfalii podała petycyą do p. ministra Falka, ażeby naukę religii ich dzieciom udzielał miejscowy proboszcz ks. Gloekel, a nie nauczyciel, który nie ma do tego upoważnienia od władzy kościelnej. Petycyą wysłano 2. stycznia rb. Dziesięć miesięcy upłynęło, a p. minister nie raczył odpowiedzieć.

Westfalczycy udali się w tych dniach z skargą i prośbą do sejmu, aby sejm wezwał ministra, by na piśmienne zażalenia obywateli odpowiadał. A że pan Falk przy pewnej sposobności zapewniał, że na dobrej woli u niego nie zbywa i na każde zażalenie, jakie go dojdzie odpowiada, więc ciekawą będzie rzeczą, co minister w sejmie powie, bo teraz odpowiadać będzie musiał.

Zdaje nam się, że jeszcze dłużej czekać musieli Chełmniacy, gdy się dopominali u tegoż p. dr. Falka, aby do nowozorganizowanej tamże szkoły miejskiej przeznaczył umówioną przy układzie liczbę nauczycieli katolickich. Skarżono się u nas z wielu innych stron, że rejencye nie dają przez kilka miesięcy odpowiedzi na przesłane petycye.

Parafianie Warsteinu niech będą dla nas przykładem, jaką drogą należy bronić praw swoich. Przecież my także płacimy podatki i lejemy krew za państwo, — nie jesteśmy więc od drugich gorsi.

Nowiny polityczne.

Wojna na Wschodzie. Pogłoski pokojowe nie ustają. Jedni wysełają na prośbę ministra angielskiego lorda Derby ks. Edynburgskiego, zięcia cara Aleksandra, do Poradyma, by teraz namówił teścia swego do zawarcia pokoju, drudzy twierdzą, że sami Moskale, uczyniwszy zadość ostatniemi zwycięztwy swemu nadszarpanemu honorowi wojskowemu, mogliby prosić o pokój. Ale ci jakoś zasmakowali w zwycięztwach i spodziewając się, że z Bożej woli ciągle im powodzić się będzie, nie myślą stanąć nagle w pół drogi. Będziemy bardzo wyrozumiali, bardzo łagodni w warunkach — zapewnia podobno kanclerz moskiewski ks. Gorczaków — ale musimy wpierw zdobyć Plewnę i tu i tam przetrzepać jeszcze Turków. Książę Gorczaków, stary wyga, który już na polityce zęby zjadł, i jednemu ks. Bismarkowi dał się pono w pole wyprowadzić, widocznie żartuje sobie z ludzi. Kto kiedy słyszał, by Moskal zwycięzki rozumiał co to wyrozumiałość, łagodność, skromność? Owszem nikt lepiej nie potrafi, oskubać pokonanego, i nawet wojna obecna, choć jeszcze daleko do jej zakończenia, daje nam już dowody niezwykłego sprytu Moskali, w wyzyskiwaniu wszystkich przychylnych im okoliczności. Kiedy bowiem pochód wojsk ich, został wstrzymany w drodze zwycięzkiej na Adryanopol, i cały szereg klęsk, znaczył drogę odwrotu, ucichły na długi czas szumne dziennikarskie przechwałki o powołaniu Moskali na zbawienie Słowian tureckich, a w ich miejsce wszystkie moskiewskie pisma powtarzały do sytości, że Moskale ustąpią i bardzo chętnie nawet, skoro tylko podłatają swój przetrzepany honor wojskowy. Zaledwie jednak Osman basza osaczony został w Plewnie, a Mukhtar po za Kars ku Erzerum odparty wziął cięgi, nie słychać i słowa więcej o ratowaniu wojskowego honoru, a za to pełno znowu rozpraw o misyi kulturnej, o konieczności wywalczenia dla Bułgaryi raju samorządu, a dla Moskwy i jej floty otworzenia bram Helespontu, t. j. wolnego na wsze czasy przejazdu z morza Czarnego w Srodziemne. Ba — nawet wypłynęli na wierzch chrześcianie w Armenii i konieczność opiekowania się niemi, o czem dotychczas nie było nigdy mowy. Po wielkich zwycięztwach skromność i umiarkowanie nie powstrzymają wcale Moskwy za Bałkanami, aby to się stało potrzebą stanowczego „nie pozwalam“ wszystkich mocarstw, któreby zupełnie zgodnie występując, Moskwie do Carogrodu zagrodziły drogę. Do takiej zgody jednak bardzo daleko między mocarstwami.

— Wiedeński „Fremdenblatt“ — pismo półurzędowe — nie chcąc by sobie ludzie daremnie łamali głowy, kto nauczył Moskali jak mają zdobywać Plewnę, powiada, że feldmarszałek Moltke nowy plan ten wygotował. Byłoby to wielkim wstydem dla Moskali, którzy wybrali się na wojnę, nie mając ani jednego wodza, któryby dał sobie radę z otwartem miastem okopanem tylko przez Osmana baszę.

— W dniach 2. 4. i 5. bm. zaszły tylko drobne utarczki pod Plewną. W tych potyczkach oddziałów wysłanych na zwiady, zdobyli Moskale 100 wozów, 370 sztuk bydła i 400 owiec i zerwali druty telegraficzne pomiędzy Rahową i Lompalanką. Najważniejszym z tych dni wypadkiem jest zajęcie przez jenerała Czerewina fortyfikacyi w Petrewenie i Jabłonicy.

— „N. F. Presse“ widząc, iż Plewna staje się w skutek przezorności i rozumu Osmana baszy, punktem środkowym moskiewskich działań wojennych, wysłała tam jeszcze we wrześniu osobnego sprawozdawcę, który ma przebyć w Plewnie wszystkie dni oblężenia, aż do poddania się tego miasta, lub zwolnienia się Osmana z kleszczów nieprzyjacielskich. Z listu tego sprawozdawcy wyjmujemy następujący opis obleżonego miasta:

Plewna leży w kotlinie; znaczna część miasta jest rozłożoną na stokach gór; przez środek płynie strumyk, zwany Bara. Nie ma tu nic uwagi godnego z wyjątkiem chyba licznych, brudnych i ciasnych uliczek, krzyżujących się w rozmaitych kierunkach tak, że trudno zoryentować się. Cmentarze są wcale bogate. Plewna, broniona już wybornie przez samą przyrodę, została przez Osmana baszę zamienioną w bardzo silnie obwarowany obóz, który jest nie do zdobycia. Na lewym brzegu rzeki Wid dominuje nad Plewną kilka silnych fortów; toż samo broni przystępu do Plewny kilka silnych fortyfikacyi po prawej stronie rzeki Widu. Droga, prowadząca do Łowaczu, tudzież droga do Bułgaryi są mocno ufortyfikowane. Osman basza rozporządza znacznemi siłami tak w piechocie jak w artyleryi i kawaleryi, pomiędzy ostatnią znajduje się około 2000 ochotników azyatyckich, którzy służą na własnych koniach. Bliższych szczegółów z pewnych powodów nie mogę podać. W żywność i amunicyą jest Plewna dostatecznie zaopatrzona na dłuższy czas. Stan zdrowia jest w ogóle zadawalniający; liczba tutejszych lekarzy wojskowych wynosi 28, pomiędzy którymi zdaje się 8 austryackich i 1 angielski lekarz, nadto jest tu zatrudnionych około 50 chirurgów. Turecka dzielnica Plewny nic nie ucierpiała, mimo że codziennie pada do niej znaczna liczba pocisków nieprzyjacielskich, za to dzielnica bułgarska leży w gruzach; kilku Bułgarów zginęło od kul rosyjskich. Kule nieprzyjacielskie padały także od czasu do czasu na szpitale, nie wyrządziły jednak żadnej szkody. Sam widziałem jak dwie kule nieprzyjacielskie padły w pobliżu szpitala.

— Wedle telegramu przesłanego „Koln. Ztg.“ Sulejman basza zbiera siły swoje pod Razgradem,

---

Kulasek

powiastka z niedawnych czasów

przez ***

(Dalszy ciąg).

II.

Gdy się obudził, słońce już oświecało wesoło izdebkę, a siostra Jagusia stała przed nim, serdecznie go witając. Poczciwa kobieta myślała, że dopiero co powrócił i śpi smacznie znużony.

— Jakeś to cichaczem nas naszedł Janku — wołała wesoło Jagusia — a ja właśnie chciałam oczyścić izdebkę na twoje przybycie. Ale ty pewnie nie wiesz — dodała, zajękując się — że.....

— Wczoraj Marysi było wesele? Wiem o tem — dokończył Jan spokojnie odwracając głowę do ściany.

— I ty nie masz wcale do niej żalu za twoją ciężką krzywdę? zapytała kobieta bardzo zdziwiona.

— Cóż oni mieli począć z kulaskiem? odpowiedział z gorzkim śmiechem. Widać nie miało nic być z tego — ale proszę cię, Jagusiu, nie mów mi więcej o niej.

Usłuchała go i umilkła. Poznała ona po jego bladej twarzy i smutnych oczach, że mu żal kamieniem na sercu leżał, ale nie mogąc mu w niczem ulżyć, wolała nie dotykać jego tajonej boleści, niż nie proszonem współczuciem rozdrażniać ją jeszcze. Tak też było i z innemi. Wszyscy żałowali biednego chłopca, ale nikt mu nie śmiał życzliwości swojej pokazać.

I rzeczywiście doktór nie pomylił się. Przestrzelona noga Jana nigdy już nie nabrała siły i musiał się choć niechętnie rozstać z wiejską pracą w polu i lesie. Szwagier uprawiał mu małe jego pole, siał i zbierał, kosił łączkę, ale cały dochód z tego małego gospodarstwa nie mógł wystarczyć na skromne potrzeby Jana i spłacenie zaciągniętego w chorobie długu. Musiał tedy powrócić do rzemiosła nieboszczyka ojca, którego kiedyś w dzieciństwie z tak wielką niechęcią się uczył, by szyjąc sąsiadom katany i wołoszki, a nawet strojniejszym gosposiom i dziewuchom spódniki i sznurówki, na życie skromne a ciche zapracować. Gdy jednak siostra jego obniosła po całem sąsiedztwie tę rzadką nowinę, iż Jan do igły się bierze, wszyscy garnęli się do Jana z robotą, tak bardzo, że obstalunkom nastarczyć nie mógł.

Siedział tedy dzień przy dniu przy małem swem okienku, które nie na gwarną wioskę, ale na cichą łąkę zwrócone było i szyjąc pilnie, snił może nieraz o dawnych wesołych dniach, tocząc smutnem okiem i wspomnieniem po leszczynie przy ruczaju, gdzie mu Maryś krzyżyk dając, wierność aż do śmierci przysięgała. Siostra Agnieszka miała o nim staranie, pamiętając o jego potrzebach i trzymając izbę w porządku.

A gdy umarł stary kościelny, ksiądz proboszcz zawsze Janowi przychylny, nie chciał mieć nikogo innego do tej obsługi kościelnej i jemu mały ten urząd powierzył. Odtąd dzwonił Jan trzy razy dziennie na Anioł pański, dzwonił w niedziele i święta na uroczyste nabożeństwo, dzwonił młodym panom na ślub, a strudzonym ziemską pielgrzymką na wieczny na cichym cmentarzu spoczynek. Po paru latach była jego własność znowu wolną od długu.

I znowu była wiosna. Jednego dnia wpadła siostra Jagusia tak gwałtownie do małej izdebki, iż o mało nie rozlała jadła, które bratu niosła w dwojaczkach. — Czy wiesz już Janku — wołała zdyszana — ale nie .... ty jeszcze wiedzieć nie możesz, bo twoje okienko na łąkę wychodzi. No dosyć, że temu niezgrabie Frąckowi rozbiegły się młode szkapy, a że ich utrzymać nie mógł, toć może i był nie trzeźwy, więc wywróciły wóz i póty go ciągły i tłukły po kamienistej drodze, póki woza nie roztrzaskały. Frącka już nieżywego

zostawiwszy w Ruszczuku tylko załogę 20,000 a w Osmanbazarze 16,000 ludzi. Załoga Silistryi pomnożoną została aż do 15,000. Wedle tej samej wiadomości, armia Sulejmana pod Razgradem ma liczyć 85,000 wojsk regularnych i nieregularnych, podczas kiedy do innych gazet piszą, że najwięcej z 60,000 się składa. Główna kwatera Sulejmana znajduje się obecnie w Kabalulak o milę od Razgradu na drodze ku Szumli.

— Z Jass telegrafują do „Pressy“, że w ostatnich czterech tygodniach przewieziono tamtędy do Moskwy 47,000 chorych i rannych żołnierzy! Przez jedyne cztery tygodnie i to na jednej tylko drodze żelaznej. Co za straszliwa liczba ofiar tej zabójczej wojny!

— Dnia 3. bm. pokazały się znowu okręta tureckie pod Odessą. Fortu tamtejszego bronią dwa nowego składu okręta wojenne moskiewskie, zwane od wynalazcy admirała Popowa, popówbami i 20 buterów, co zapewne jest dosyć w obec niedołężnych obrotów tureckich na morzu.

— Wedle „N. W. Tageblatt“ Serbowie zdecydowali się w 24,000 wojska przejść turecką granicę i maszerować ku Zofii. Przeciwnie, „Presse“ nie tylko nic o tem nie wie, ale twierdzi, że armia serbska nie jest wcale jeszcze gotową do boju.

Za to znowu w Bośnii ruszają się powstańcy. Ale co z tego, kiedy ich wszędzie biją Turcy w kapustę. Nad granicą austryacką przemycają się pobici powstańcy do Dalmacyi, po innych miejscach chronią się po lasach i górach. Jednak w tych potyczkach tracą i Turcy dosyć żołnierza, i chcąc na jeden raz zgnieść całe powstanie bośnieńskie, formują kilka ufortyfikowanych obozów, powołując pod broń całą ludność muzułmańską od lat 16 do 60.

Mehemed-Ali basza, obecnie mianowany komendantem wszystkich wojsk w Hercogowinie i Nowymbazarze, przybył do Zofii, by objąć dowództwo nad armią turecką, zbierającą się między Orkhanią a Zofią. Ta podróż Mehemeda do Zofii, bardzo jakoś wygląda na odsiecz, dążącą do uwolnienia z matni Osmana.

— Turcy milczą zupełnie o bitwie stoczonej przez Mukhtara pod Dewebojum w bliskości Erzerum w Armenii. Moskale zaś zapewniają, że z bitwy tej wyszli zwycięzko pobiwszy po dziewięcio godzinnej walce Mukhtara i Ismaiła baszów tak zupełnie, iż Turcy z oszańcowanych pozycyi pierzchnęli w nieładzie zostawiając na pastwę nieprzyjaciela obóz cały, broń i różne zapasy. Czy to jest szczera prawda? nie wiadomo. W każdym razie Mukhtar się cofnął, ale kiedy jedne depesze twierdzą, że do Erzerum, drugie każą mu iść ku Trapesuntowi, gdzie mają być dla niego znaczne posiłki. W skutek tego twierdzenia, iż Mukhtar udał się do Trapesuntu, piszą do „Fremdenblattu“ w dniu 5. bm: Moskale posuwają się z Olti przeciwko Kusynu, aby zajmując stanowisko na północ Erzerumu, przeszkodzić połączeniu się wojsk tureckich dążących z Trapesuntu z Mukhtarem. Spodziewają się prędzej jeszcze bitwy w tym kierunku, niż pod Erzerum. Wojskiem tureckiem w Trapesuncie dowodzi Rifwat basza.

— Z Kadikioi pisze korespondent „Pester Lloyda“: W dniu święta tureckiego bajramu przybyłem do obozu Sulejmana baszy. Wojsko znosiło ze wszystkich stron drzewo i wodę. Była to czynność, która utrzymywała je w ciągłym ruchu i rozgrzewała skrzepłe z zimna członki. Tu i owdzie strzelały wojska z karabinów na wiwat i śpiewały jakieś piosnki monotonne. Główna kwatera naczelnego wodza leży w błocie kilka stóp głębokiem; gdy przed nią zsiadłem z konia, zapadłem się po same kolana. Z najbliższego namiotu, a był to namiot Sulejmana — dolatywała mię bardzo ożywiona rozmowa; odbywała się bowiem rada wojenna. Z zadowoleniem przysłuchiwałem się tej rozmowie, przekonałem się bowiem, że rada wojenna u Sulejmana baszy odbywa się nie całkiem po turecku... i że na naradzie nie odgrywa najgłówniejszej roli kawa i fajka. Wszedłem do namiotu adjutantów i zostałem tu przyjęty bardzo uprzejmie przez czterech młodych i przystojnych oficerów, widocznie synów bardzo zamożnych rodzin tureckich. Po upływie kwandransa skończyła się rada wojenna; proszono mię, ażebym wszedł do namiotu Sulejmana baszy. Marszałek w skromnym mundurze polowym, siedział na łóżku żelaznem. Nedżib basza i jeszcze jakiś drugi jenerał siedzieli na ziemi przykrytej kobiercem, którego kawałek odstąpiono dla mnie z prośbą, ażebym zajął miejsce. Bez ceremonii siadłem po turecku i powiedziałem krótko a węzłowato, że przychodzę prosić Sulejmana, ażeby pozwolił mi być obecnym przy jednej bitwie lub utarczce. Nedżib basza przetłumaczył moją prośbę Sulejmanowi, który spoglądając na mnie bystro i wpatrując mi się w oczy, odpowiedział po chwili bardzo poprawną francuzczyzną: „Przy pierwszym strzale działowym lub karabinowym możesz pan pójść, gdzie się panu podoba.“ Przekonałem się z tej odpowiedzi, że Sulejman rozumie po francuzku i że tłumaczenie prośby mojej przez Nedżiba baszę było całkiem zbyteczne. Sulejman nie chce jednak popisywać się wiadomością języka francuskiego widocznie dla tego, ażeby dać do poznania, że jest z urodzenia Turkiem. Na tem skończyła się rozmowa nasza; nie padło już ani jedno słówko; mimo to pozostałem jeszcze w namiocie parę minut, ażeby podziwiać skromność urządzenia i przypatrzeć się swobodnie fizyognomii marszałka. Przy tej sposobności podchwyciłem jedno badawcze spojrzenie Sulejmana. Spostrzegłem parę dużych jasno niebieskich oczu, czatujących pod krzaczastemi brwiami i unikających bojaźliwie każdego spotkania się z wzrokiem obcym. Są to oczy, w których przebija się ogromna duma, srogość i żądza panowania.

Z przeszłości Sulejmana wiem tyle, iż jako młody człowiek kształcił się na uczonego w piśmie św. muzułmanów, i jako taki zdobył sobie uczony tytuł hafuza. Na początku wojny krymskiej zamienił koran na szablę i w okopach Turtukai i następnie pod Oltenicą zdobył szlify oficerskie, przyczem otrzymał silny postrzał w ramię. Dowodząc pod Silistryą dostał za waleczność nominacyą na majora i order Medżidye. Później odznaczył się w Czarnogórze na Krecie, i na śliskiem polu intrygi w pałacu sułtańskim w Carogrodzie, i to nawet do tego stopnia, że w roku zeszłym mianowany został jenerałem korpuśnym, a w tym roku marszałkiem i naczelnym wodzem. Jest to ostatnia wyżyna zaszczytów, z której można spaść dość nisko. Pod Kadikioi rozstrzygną się dalsze losy Sulejmana, a mianowicie, czy pozostanie na swem wysokiem stanowisku, czy też postrada zdobyte tyloletnim staraniem zaszczyty.

Niemcy. Na posiedzeniu Izby 6. bm. rozprawiano o fabryce porcelany, przyczem krytykowali posłowie ten zakład, który zamiast służyć za wzór przedsiębiorstwom prywatnym, podupada i z roku na rok gorsze wyrabia przedmioty. Znaczenie, jakie dawniej ta fabryka miała pięknemi wyrobami garncarskiemi, zupełnie znikło, jednem słowem, koszta nie opłacają pożytku. Jeszcze więcej niezadowolenia posłów wywołały pisma rządowe „Staats-Anzeiger“ i „Prov. Corr.“ Pierwsze z tych pism umieszcza w rozprawach Izby to tylko, co powiedzą ministrowie, nigdy nie przytaczając argumentów posłów przeciwnych prawom lub postępowaniu rządu. Ztąd wielka jednostronność, z której nikt nie może być mądry i na co szkoda pieniędzy. Gdy nakładzca naszego pisma wydał także osobno mowę posła dr. Niegolewskiego, a odpowiedzi ministra do niej nie dodał, skazały go sądy na 14 miesięcy więzienia — za to, co wolno było „broić“ tylu innym pismom a nawet redaktorowi pisma rządowego! Przytem redaktor „St. Anzeig.“ pozwala sobie w części nieurzędowej pisma różnych wycieczek i to bardzo ostrych, przeciw innym pismom, a gdy mu kto odpowie, to uważając się za państwowego urzędnika skarży pismo za obrazę swej urzędniczej osoby. Taki właśnie proces ma także nasz „Kuryer Pozn.“ A gdzież tu słuszność? Czyż wolno może być redaktorowi „St. Anzeig.“ obrażać drugich bezkarnie dla tego tylko, że rząd mu płaci za wydrukowanie pod swem nazwiskiem różnych rozkazów rządowych? „Prov. Corr.“ też w ten sam sposób się zachowuje, zaczepiając niemile rządowi stronnictwa, ale poseł Windthorst twierdzi, iż nie może się o nie gniewać, bo dla centrum zaczepki rządowej „Prov. Ztg.“, są jak najlepszem poleceniem.

Na wniosek p. Richtera przyjęła komisya budżetowa w rozprawie nad zamierzoną przez rząd pożyczkę i to znaczną większością głosów, póty nie uchwalić żądanej pożyczki, póki nie będzie zupełnie wiadomo, wiele rzeczywiście pozostało w kasie rządowej niedoboru. Ta uchwała nie będzie się podobać rządowi, ale nie traci on nadziei, że liberały w ostatniej chwili namyślą się i będą głosować w pełnej Izbie przeciw własnym uchwałom w komisyi. Zwykle im się to dziwne przeciwieństwo przeciw własnemu zdaniu zdarza, a przytem una się rząd dobrze.

W środę 7. bm. przyjęła Izba wniosek posłów Kaufmana i Schoerlemera, żądający przedłożenia ordynacyi gminnej, powiatowej i prowincyonalnej dla prowincyi nadreńskiej i Westfalii. Wniosek ten partyi centrum pozyskał nawet prawie jednomyślność całej Izby, co dla rzadkości tego zjawiska przytaczamy. Minister Friedenthal, jako zastępca ministra spraw wewnętrzych zapewniał, że trudno będzie o porozumienie, jeżeli Izba zbytnie na drobne różnice zważać będzie. Przeciwnie trzeba przyjąć cały projekt reformy organizacyi prowincyonalnej i starać się w ten sposób ułatwić rządowi jej wprowadzenie. Minister obiecuje poświę-

---

podnieśli ze ziemi, a gdy go w dom Marynce przynieśli, dostała z przelęknienia kurczy i bodaj czy przy życiu ostanie. Widzisz Janku, to jest Boża wola za twoją krzywdę!

— Milcz kobieto! zawołał brat tak groźnie, że Jagusia wystraszona zamilkła.

Nie tknął się jednak obiadu, a ręce jego drżały tak bardzo, że daremnie chciał nawlec igłę. Jagusia nie śmiała nic już więcej mówić i po małej chwilce wysunęła się na wieś po cichu. W izbie Jana było cichuteńko, zaczęta robota, nad którą przed chwilą tak pilnie pracował, zsunęła się na ziemię, a Jan, oparłszy głowę na drżącej ręce, wpatrywał się ponuro w łąkę i leszczynę, jak gdyby spodziewał się dojrzeć w niej jeszcze, nigdy niezapomnianą postać. Nareszcie skrzypnęły drzwi chaty, a gdy Jan oczy podniósł, stała przed nim młoda sołtyska, cała drżąca i zapłakana.

— Ach Janie, nieszczęście nie dało długo na się czekać, — rzekła głosem stłumionym od żalu — musicie iść dzwonić umarłemu, ale dzwońcie dwa razy, tak długo, bo tam trupów jest dwoje.

I zalkała głośno, zasłaniając sobie twarz końcem fartucha. Jan myślał że mu serce pęknie ze żalu. Złożył jak do modlitwy zimnym potem zlane dłonie i milcząc, wlepił smutne oczy w płaczącą rzewnie kobietę. Rózia uspokoiła się po chwili i odejmując fartuch od upłakanych oczów:

— Tak Janie, — mówiła, patrząc w jego smutne, pytające oczy — tak, twoja Marysia umarła. Dała jeszcze życie biednej sierotce i oddała Bogu ducha w ciężkich kurczach i bez pamięci. Przerażenie i ból złamały jej serce......

Jan nie powiedział ani słowa, a Rózia zrozumiała, że słowa pociechy w niczem jego żalowi nie ulżą. Kładąc mu lekko rękę na ramieniu, rzekła z rzewnem współczuciem:

— Wypłacz się Janie, zdaj twój ból miłosierdziu Boskiemu — a potem idź i zadzwoń im obojgu, twojej biednej Maryś i jej mężowi.

I złożono ich razem w jeden dół głęboki, a Jan im dzwonił i dzwonił, ale uderzenia dzwonu były tak nierówne, jak gdyby drżąca i bezsilna ręka starca ciągnęła za sznury, a po pogrzebie poszedł do domu żałoby, który od dwóch lat starannie z daleka omijał.

Marysina matka w ciężkim sercа żalu posłała po niego Rózię, bo myśl, że niesprawiedliwość wyrządzona Janowi była przyczyną gniewu i kary Bożej, nie dawała jej chwili spokoju.

— Żyjcie w spokoju matko — mówił poczciwy Jan ze łzą w smutnem oku — jam nigdy nie miał do was żalu. Wierzcie mi, wyście mi żadnej nie wyrządzili krzywdy. Przecież to nie wasza wina, żem nie był sposobny na gospodarza i żeście mi dla tego waszej Marysi dać nie mogli. — Pokażcie mi tylko biedną sierotkę, — chcę widzieć, czy matczce swojej podobna.

Rózia wyniosła z kolebki dziecinę i położyła mu ją na ręce, a Jan schylił głowę na śpiącą okruszynę, by nikt nie dojrzał, jak mu wargi drżały.

W parę dni potem trzymał malutką do chrztu, a gdy głośno wzywał pomocy Bożej, by mu dozwoliła dziecinie być ojcem, zdało mu się, że dopiero teraz gorzkie jego życie znowu ma cel jakiś i że warto żyć dalej, żyć, cierpieć i pracować.

Odtąd co wieczór o zmroku dążył pospiesznie do rodzicielskiej chaty Marysi, aby malutką popiastować, albo w śnie słodkim pokołebać, a gdy maluchna Marysia po raz pierwszy drobne do niego wyciągnęła rączyny, rozśmiał się szczerze i wesoło, jak w czasach dawnej, dalekiej młodości.

Pierwszą podróżą maleńkiej były odwiedziny chrzestnego pod opieką babusi, a niedługo potem biegała co dzień sama do chaty chrzestnego i godzinami rozweselała szczebiotaniem swojem samotną izdebkę człowieka, któremu po latach smutku zabłysła wiosna i wesele w jej dziecinnym uśmiechu.

cić zadaniu temu wszystkie swoje siły i liczy na poparcie wszystkich gorących patryotów, tj. zawsze ślepo oddanych rządowi, który dopiero wtedy przez pana ministra jaśniej swoje plany objaśni, gdy dostatecznie przedwstępnemi robotami i śledztwami rzecz całą reformy przygotuje.

Ziemie polskie. Moskale mieli dość rozumu na to, by nie wydając w imieniu cara manifestu do ludu polskiego, obiecującego mu gruszki na wierzbie, jeżeli zostanie szpiegiem moskiewskim i dozorcą policyjnym każdego szlachcica i mieszczanina, ba nawet i żyda, postawić jednak na swojem i tajnym sposobem oddać w ręce chłopa polskiego straż nad bezpieczeństwem rządu moskiewskiego w Polsce. Że to prawda szczera, a nie domysł żaden, przekonywa nas list pewnego wojta, który to list z Polski przesłano do „Dzien. Pozn.“ W liście tym pisze wójt do pewnego obywatela wiejskiego, że na mocy rozkazu naczelnika powiatu wzywa go, aby jemu wojtowi doniósł o wszystkich zebraniach i zjazdach, na którychby było więcej, jak 5 osób, i to 6 dni naprzód, oraz aby mu wymienił imiona i nazwiska gości, którzy mają do niego zajechać, bo wójt jest obowiązany donieść o tem natychmiast osobnym posłańcem do naczelnika.

Tak tedy nie wolno już w Polsce wyprawić imienin, chrzcin lub wesela bez najwyższego pozwolenia pana naczelnika powiatu i bez czujnej straży wojta lub starszego strażnika! Czyż nie dość jeszcze Moskalom owych sławnych paszportów, bez których nie wolno z wsi do wsi przejechać? Nie dość owych rewizyi i nękań, tak szlachty jak i księży? Boją się widać strasznie jakiejś ruchawki, o jakiej nikomu się nie marzy. Aleć to już zawsze tak było, jest i będzie, że na cudzych śmieciach zawszeć strachu zażyć trzeba i oglądać się na wszystkie strony, zkąd padnie kara Boża za gwałt i rabunek.

Wiadomości miejscowe i prowincyonalne.

Poznań, 9. listopada. Dzisiaj stawał na terminie śledczym dr. Szymański z powodu artykułu zamieszczonego w num. 120 „Orędownika,“ w którym był użyty wyraz „ksiądz odstępca.“ P. Kolany z Murzynna odnosił to do siebie i wytoczył proces.

— Wczoraj skazała apelacya p. Wiktora Stawińskiego na 3 tygodnie więzienia za obrazę p. Akermana, nauczyciela przy szkole obywatelskiej. Proces przegraliśmy dla tego, że nam niedokładnie fakta podano.

— * **Zwyczajne** zebranie Towarzystwa Młodych Przemysłowców odbędzie się w poniedziałek dnia 12. listopada r. b. o godzinie 8 wieczorem w lokalu p. Knolla, podczas którego jeden z członków odczyt mieć będzie.

— * **Na wniosek** Banku Kwileckiego i Potockiego zaciągnął sąd sekwestracyą nad nowym budynkiem pp. Aów, ponieważ bank jest głównym wierzycielem tychże.

— * **„Ruch“** dowiaduje się, że tegoroczny sejmik Związku Spółek zarobkowych, odbędzie się w Inowrocławiu 25. i 26. bm.

— * **Robotnikowi** Urbaniakowi z Jerzyc zgniotła szyna prawą nogę przy składaniu tejże na nowej kolei do Obornik. Nieszczęśliwego odniesiono do Sióstr Miłosierdzia.

— * **Pan Kolany** proboszcz rządowy z Murzynna, otrzymał list od „szczerego przyjaciela“, który mu szczerze radzi powrócić do posłuszeństwa dla Kościoła i wskazuje mu na przykład ks. Kulińskiego z Grodziska. Do tego listu był dodany dekret, podpisany przez „Mieczysława Kardynała Ledóchowskiego, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego“ z dnia 10. września rb., który rzuca na ks. Kolanego klątwę i nakazuje wiernym unikać go. Pan Kolany musiał oddać te listy policyi, bo je dziś „Posenerka“ dosłownie drukuje. Sześciu obywateli gniewkowskich miało otrzymać także listy, ale je policya zabrała; — w jaki sposób, jakim prawem, o tem „Pos. Ztg.“ nie pisze.

— * **W okolicy** Gietrzwałdu wytoczył prokurator 20 księżom proces o to, że odprawiali tam nabożeństwo. Ks. prob. Weichsla zaś wzywają sądy, aby podał spis księży, którzy w Gietrzwałdzie msze św odprawiają.

— * **Z Powidza** piszą do „Kur.“ Pan Moerke czuje się bezpiecznym, dotychczas nie postał jeszcze w kościele i nikt go jeszcze nie widział. Okienice na probostwie pozamykane. Jeden żandarm pilnuje jego osoby a drugi wyłącznie dla niego do Powidza przeznaczony strzeże miasta we dnie i w nocy. Dotychczas dzwony są głuche, „serca,“ chociaż oddane władzy policyjnej, jeszcze nie zawieszone. Pan Moerke czasem przechodzi się po ogrodzie, ale okrzyki malców i kamyczki przez nich ciskane przeszkadzają mu w jego spacerach. Był z żandarmem u p. burmistrza i podobno kazał oświadczyć, że jeżeli mu dadzą „spokój,“ to i on ich nie będzie dręczył. Świadectwa kościelne wydaje darmo i nie robi żadnych trudności, gdy potrzeba, odsyła je także na pocztę. Najgorzej było z kupowaniem wiktuałów. Znalazło się dziewczę niewiadomych rodziców, które się często na ulicy chowa, a które służy na probostwie. Ta biedna istota najwięcej cierpieć musi. Gdy idzie do kramów pod osłoną żandarma, czekać musi godzinami, nim co dostanie, a jeżeli żandarma przy niej nie ma, to znosi z cierpliwością najboleśniejsze prześladowanie od swoich rówienniczek i rówienników. Dla chleba jednak chce wytrwać na swojem smutnem stanowisku, przez przybranego a bardzo biednego ojca do tego nakłoniona. Chleba, mięsa itp. wiktuałów nie chciano mu sprzedawać, ale władze policyjne groziły odjęciem konsensu i za ich namowami sprzedawają panu proboszczowi. O dzierżawę już się pan Moerko zgłosił. Nie potrzebuję dodawać, że pan Moerke usługi męzkiej żadnej nie ma, pomimo starań żandarmów nikt się na kościelnego ani na organistę nie zgłasza. Biedni Powidzanie schodzą się na nabożeństwo do prywatnego domu. Jak dzisiaj rzeczy stoją, chętnieby widzieli, gdyby się pan Moerke wyniósł i brał „swoje“ dochody a im kościół zostawił otwarty, który z jego powodu dla nich zamknięty.

— * **Straszna** zbrodnia wydarzyła się w sobotę 27. z. m. w Brodach pod Gniewem. Dwóch niedorostków na tamtejszym folwarku poczubiło się. Jeden z nich, na którego niekorzyść bójka wypadła, poszedł skrwawiony na skargę do ojca, który wrzący zemstą na widok krwią oblanego syna porwał za kij i kilku uderzeniami tak pobił chłopaka, który się był porwał na niego, iż nieszczęśliwy po 20 godzinach życie zakończył. Zbrodniarza ujęła policya. („Pielg.“)

Oborniki, 7. listopada. Miasteczko nasze z dawnych czasów polskich tak sławne, później z powodu wojen podupadłe, w ostatnich czasach w skutek obsadzenia probostwa z ramienia rządu „proboszczem“ rzeczywiście zasłynęło. Kto pilnie „Orędownika“ czyta i z niego się dowiaduje, że np. w Kościanie tyle a tyle ludzi zostało skazanych za obrazę pana Brenka, albo za zbiegowiska, ten sądziłby, że u nas takie rzeczy się nie dzieją. Tymczasem tak nie jest, bo i u nas w tym względzie kary pieniężne się posypały i więzienie dało się we znaki. I tak obywatel G. został skazany za obrazę p. Nowackiego na 10 marek kary i koszta, które do 60 marek wynosiły; obywatel A. za podobną obrazę na 7 dni więzienia i koszta, które też dosyć znaczne były; obywatelka W. na 6 dni więzienia i koszta za podobne przestępstwo i wielu innych, których oskarzono za znane zajścia w dniu 3. maja rb. Nawet żaki szkolne, nie są siebie pewne. I stróże nocni muszą się mieć na baczności. Jeżeli który z nich na dany sygnał, zwykle wystrzałem z rewolwera, natychmiast nie przybędzie, to z pewnością źle mu pójdzie. Kilku już stróżów skasowano. Panu Nowackiemu zdaje się zwykle, że go ktoś napada i zaczyna wtenczas po nocach strzelać i miasto niepokoić. O, sumienie! — sumienie!

Od niejakiego czasu jesteśmy przynajmniej od procesów z p. Nowackim wolni, bo jego największy zwolennik i apostoł zginął jak kamfora bez pieprzu. Sługa miejski, *vulgo* „Królikiem“ zwany, który w czasie wielkanocnych procesyi Pana Jezusa zmartwychwstałego z chorągiewką przy pałaszu nosił, umarł prawie nagle w skutek zapalenia żołądka. Wieść o jego śmierci lotem błyskawicy po mieści się rozeszła i każdy upatrywał w tem palec Boży. Zdawało się niepodobieństwem, żoby człowiek ten tak silny mógł tak nagle umrzeć. Czy wiecie, na jaki koncept nasi „przyjaciele“ wpadli? Oto nagle rozeszła się pogłoska po mieście, że „Królik“ został od Polaków zatruty i nawet już wiedziano, od których. Sprawa ta stała się coraz głośniejszą i nareszcie sam lekarz dr. Peters zaczął powątpiewać, chociaż sądził, że umarł na gwałtowne zapalenie.

Skoro plotki te doszły do uszu policyi, ta natychmiast sprawę oddała prokuratoryi i krótko przed pogrzebem zjechała rzeczywiście komisya i w przeszło trzygodzinnej natężonej pracy krajała nieboszczyka, aby się o rodzaju śmierci przekonać. I pomimo, że przybrani lekarze protokularnie zeznali, że śmierć nastąpiła w skutek gwałtownego zapalenia, jednakowoż zabrano z sobą pewne części ciała nieboszczyka celem oddania ich do dalszej ściślejszej rewizyi. Zabrane części zostawiła komisya u fizyka dr. Petersa i dopiero po kilku dniach takowe odebrała i do Poznania, czy, jak inni mówią, do Berlina, odesłała.

Tak skończył ten, który za życia często powtarzał, „gdybym wiedział, że jeszcze mam jedne żyłkę, polską, wyrznąłbym ją sobie nożem.“ Lud do dziś skwapliwie powtarza jego słowa i dodaje: „Chciał je sobie sam wyrznąć za życia, a że nie uczynił, dokonali tego po jego śmierci.“ Sławny też był jego pogrzeb. Pochowali go sami Niemcy z panem Nowackim i muzyką na czele wśród strzałów nad jego grobem. Chorał niemiecki zakończył uroczystość. Pewni panowie, dowiedziawszy się o jego śmierci, mówili: Chwała Bogu, mamy przynajmniej jednego denuncyanta mniej. Bo też Królik traktował to jako rzemiosło i jedynie w tym celu, aby dyety brać, jak mu to często w oczy mówiono.

Z nowszych wiadomości miałbym tyle do nadmienienia, że parafia pana Nowackiego coraz mniejsza, ale pana Nowackiego to bynajmniej nie odstrasza, nabożeństwo odprawia i tyle dzwonić każe, że nasze miłe i przyjemne dzwony nigdy tak w robocie nie były, jak obecnie. W dzień zaduszny nawet procesyą około kościoła odprawił i narachowaliśmy wszystkich 9 osób z dziećmi organisty, z panem Nowackim, jego matką, znaną panią K. i kalkanistą. Najbardziej nas dziwi, że pani K., która dawniej zwykle za późno na nabożeństwo przychodziła, dziś prawie co niedzielę z dziećmi punktualnie na nabożeństwo pana Nowackiego się stawia. Ale za to kościoły sąsiednie co niedzielę i święto dosłownie przepełnione. Chcesz czytelniku poznać prawych katolików, przywiązanych do prawowitej władzy kościelnej, udaj się w niedzielę którą na żwirówkę, prowadzącą do Łukowa, a zobaczysz jak tylko okiem dojrzysz, setki ludzi spieszących na nabożeństwo w pojęciu Kościoła prawowitych kapłanów. Pogrzeby nasze odbywają się teraz bardzo pompatycznie; kto tylko w mieście bawi a czas mu pozwoli, dołączy się do zgromadzenia i setkami ludzie towarzyszą za trumną, śpiewając z pełnych piersi naszą wzniosłą pieśń: „Kto się w opiekę“.

III.

Tak przeszło im pięć lat w zgodzie i spokoju, jemu i dziecinie sierocej, gdy nagle wczoraj szczęście Jana jeden, jedyny wyraz zdruzgotał. Chciał on właśnie po dzwonieniu wieczornem wstąpić do Marysinej chaty, gdy malutka na próg przeciw niemu wybiegając: Czyś mi jabłuszko przyniósł Kulasku?—zawołała wesoło, trzepocąc się w około niego.

On wlepił w dziecko osłupiałe oczy i zdało mu się, że to tylko sen przykry. Ale dziewczynka zawołała znowu, wyciągając ku niemu rączyny: Daj mi moje czerwone jabłuszko Kulasku!

I złość opanowała go nagła. Podniósł rękę, jak gdyby chciał dziecko ukarać za gorzkie słowo, które kiedyś całe mu życie rozbiło; ale upamiętał się na czas, spuścił rękę i nie patrząc nawet na malutką, zwrócił się śpiesznie do swej samotnej chaty. Tam przeszedł w duchu całą męczarnią ubiegłych, a dziś już zapomnianych dni, gdy nagle podrzaźniło go złe słowo, wywołane przez dziewczynkę, która niepocieszona po stracie jabłuszka za nim aż do chaty jego goniła. Wstał więc i gniewny odtrącił od siebie niebaczną dziecinę.

Ale któż mógł wykopać to straszne słowo z grobu niepamięci i wryć je w pamięć dziecinną? Pytanie to zegnało sen ze znużonych powiek Jana i przez całą, długą noc jesienną, dręczyło myśl jego i serce, gdy stojąc tak u oświeconego księżycem okienka patrzał na łąkę i leszczynę, w której przed laty uwierzył łatwowiernie w zwodnicze zaklęcia pięknej dziewczyny.

Darmo następnego ranka wabiło wesoło słońce Jana do okienka. Siedział smutny i zmęczony na ławie pod piecem jak gdyby osłabione czuwaniem oczy znieść nie mogły blasku dziennego a zawsze czynne ręce leżały leniwie wsparte na kolanach.

Jagusia kręciła się wesoło po izdebce, czyszcząc i zmiatając, była to przecież sobota, trzeba więc było staranniej jeszcze opatrzyć bratu jego małe gospodarstwo na jutrzejszy dzień świąteczny.

— Ale gdzież się podziała twoja Marynuszka? — zapytała się wreszcie, gdy godzina, w której maleńka co dnia przybiegała do chrzestnego, dawno była minęła.

— Nie wiem — odpowiedział tak sucho Jan, że Jagusia zaraz zmiarkowała, iż nie rad z nią mówi. Powróciła tedy do swojej roboty, i było tak cichuteńko w samotnej izdebce, że słychać można było cichy brzęk muszek, grzejących się w blasku jesiennego słońca. Naraz dały się słyszeć drobne kroczki na podwórku, mała rączka chwyciła za klamkę, i w drzwiach odemkniętych ukazała się różowa twarzyczka dziewczynki pytającej nieśmiało:

— Czy chrzestny się już nie gniewa? Marysia może wnijść? (Ciąg dalszy nast.)

(Dodatek).

Ostatnie wiadomości.

— Petersburg, 8. mb. Turcy uderzyli na jenerała Łazarewa, gdy chciał sypać szańce pod Karsem, ponieśli jednak porażkę i cofnęli się do fortu Hafiza baszy. Przy ściganiu wpadł pułkownik Fadejew do fortu Hazifa, ściął część garnizonu, zagwoździł wszystkie działa i wziął do niewoli 10 oficerów i 40 żołnierzy, sam mając małe straty.

— Z Petersburga zaprzeczają, aby książę edynburgski i poseł Loftus mieli się udać do głównej kwatery, by namawiać cara do pokoju.

— Drezno 8. mb. Dziś wieczorem umarła królowa saska, wdowa, Amalia Augusta, urodzona w roku 1801.

— Wiedeń 8. mb. Czarnogórcy rozpoczęli bombardowanie twierdzy Serdanu pod Spuzem i sprowadzili na to 20 dział z Podgórzycy.

— Carogród 8. mb. Mukhtar donosi z Erzerumu 5. mb.: Moskale zaczepili mię 4. m. b. z prawego i lewego skrzydła; początkowo odparłem ich na prawem skrzydle, ale lewe skrzydło Moskali uderzyło na centrum, które było słabo oszańcowane i dla tego musiało się cofać, zostawiwszy kilka dział na placu. Gdym to widział, dałem sygnał do odwrotu na Erzerum. Popłoch, jaki powstał w centrum, przypisać należy nieszlachetnemu postępowaniu oficerów moskiewskich, którzy winni być stawieni przed sąd wojenny. Wojska zajęły forty w Erzerumie i zajęły się ich wzmocnieniem.

— Wiedeń 8. mb. Między Turcyą a Serbią coraz gorsze stósunki. Turcya zażądała od Serbii, aby natychmiast cofnęła wojska swoje z nad granicy.

— Carogród 8. mb. Sulejman donosi z 7. mb. Turcy rozpędzili kozaków, którzy przyszli aż pod Kozlonbey, aby zabrać dla siebie zboże. Wezoraj chciały 4 kompanie z Jenikeni zabrać transport, zaczepiły Kozlonbey, ale je odparto po 3godzinnej walce. — Achmet basza telegrafuje, że Moskale bombardowali Ruszczuk przez 2 godziny.

Rozmaitości.

— * **Bogaty** bardzo Anglik, markiz Waterford, nie jeździł nigdy koleją inaczej, jak III klasą. Urzędnicy kolei żelaznej, którzy go znali, postanowili wyleczyć mniemanego sknerę ze skępstwa i razu pewnego, gdy znowu zajął miejsce w III klasie, wpakowali obok niego osmolonego, brudnego i brzydko woniejącego łobuza z rozlicznemi tobołami. Tego Anglikowi było zanadto, więc wyszedł z wagonu, a że do innych zapełnionych przenieść się nie mógł, poszedł do okienka i kupił bilet I klasy, ku wielkiej radości urzędników. Ale trudno pojąć zdziwienie tych panów, gdy pan Waterford zamiast wsieść do I klasy, ofiarował bilet owemu łobuzowi, dopomógł zająć miejsce w I klasie, podał mu jeszcze toboły, a sam — został w III klasie.

Ceny targowe w Poznaniu, z dnia 9. listopada.

Ceny ustanowione przez stowarzyszenie kupieckie.	Za 50 kilogramów					
	piękn.		[illegible]		pośled	
	mrk	fen.	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]
Pszenicy	10	70	9	70	8	70
Żyta	7	20	6	90	6	55
Jęczmienia	8	35	7	70	7	50

Subhasty: 1) A. Zaremba, Ludwinowo nr. 53, hkt. 1,12,50 d. 20. 12 Gostyń. 2) J. Kopczyńscy, Buk nr. 162, ar. 30,10; nr 256 hkt. 1,64.20 d. 21. 12 w m. 3) A. Mrozek, Maria Alois nr 14, hkt. 9, 12,80 d. 17. 12. Kępno. 4) S. Górecki, Rzetnia nr. 27, hkt. 14.26.70 d. 17. 12. Kępno. 5) K. Karasiński, Ostrzeszów nr. 83, hkt. 3,71 d. 17. 12. Kępno. 6) M. Hajdziony. Jankowo zaleśne nr. 16, hkt. 25.15.40 d. 20. 12. Ostrowo. 7) W. Przodaszek, Czermniek nr. 10, hkt. 6,64,80 d. 21. 12. Pleszew 8) J. Zyber, Szkaradowo nr. 136, ar. 70; nr. 288 ar. 73,30 d 21. 12. Rawicz. 9) Stan. Łukowiak, W. Goruszki nr. 15, hkt. 5,94,70; nr. 27 hkt. 3,50.60; nr. 33 ar. 24; nr 34 hkt. 5,63.50; nr. 47 hkt 2,18,50; Gsiok nr. 31 hkt. 1,15,20 d. 20. 12. na sołectwie w W. Goruszkach. 10) K. Kretzmon, Jaryszewo nr. 8 hkt. 23,87,50 d. 22, 12. Oborniki. 11) W. Nowak, Wagowo nr. 7, hkt. 1,5,70 d. 3. 12. Pobiedziska. 12) R. Reuter, Kiszkowo nr 7 ar. 22,30 d. 12. 12. Rogoźno

Redaktor odpowiedzialny
Wiktor Stawiński w Poznaniu.

Nakładca Dr. Roman Szymański w Poznaniu. — Czcionkami Jarosława Leitgebra w Poznaniu. — Biuro Redakcyi: Plac Wilhelmowski Nr. 16 III. p.